

DÜRRENMATT

Witold Filler

„Anabaptyści” Friedricha Dürrenmatta są sztuką historyczną. Traktują o wydarzeniach z roku 1534, gdy sekta plebejskich utopistów owdładnęła niemieckim miastem Münster, by ogłosić je nową Jeruzalem — stolicą sprawiedliwego Boga i wolnego człowieka. O tym samym okresie mówi „Pan Bóg i diabeł”. Dla Sartre’a historia była przecież barwną kostiumernią, skąd wypożyczał zbroje i habity dla swych amorficznych bohaterów. Na przemian — ładna i ekliwa, tragiczna i szlachetna historia Sartre’a jest wielkim kłamstwem, które uwierzytelnia moralne szarady autora: dla Dürrenmatta historia jest ciągiem faktów. Prawdziwych, chociaż okrutnych. Odrąbane głowy heretyków spadają na biskupie kolana, obłęd ogarnia straganiarki i męczenników, cesarze rządzą światem mocząc nogi w cebrażku, równość społeczna okazuje się przekleństwem dla ludzi, których rzekomo wywyższa. Dialogi „Anabaptystów”, brzmią chwilami, jak wypisy ze starych kronik, chwilami jak cytaty z „Wojny chłopskiej w Niemczech” Fryderyka Engelsa.

Ale akcja „Anabaptystów” dziejąc się w wieku XVI i w mieście Münster, dzieje się zarazem w roku 1967 i wśród nas. Czas „Anabaptystów” jest bowiem podwójny. Właśnie! — nie uniwersalny, jak u Sartre’a, dla którego historia była kostiumem przy zabawie w filozofię, czy choćby u Petera Weissa, dla którego w „Marat-Sade” historia była pretekstem dla zabawy w teatr. Dla Dürrenmatta historia to lekcja analogii. I rok 1534 = rok 1967. Gdyż obsesją autora sztuki zdaje się być wyprowadzenie dowodu, że w historii stany szczególnych psychoz społecznych są typowym zjawiskiem dla szczególnych epok: dla epok powszechnej niewiary.

Takim był wiek XVI — wiek „walki wszystkich przeciw wszystkim”, skarykaturowany przez Hobbesa w pierwszych rozdziałach jego „Lewiatana”. Papież, Luter, Kalwin i prorok anabaptystów, Jan Matthison walczą o świat, a żarliwość zmagania każą im zmienić sojuszników, niczym partnerki w kadrylu. Stale partneruje im przecież mord i pożoga, a ich wiernych stale obezwładnia strach. I ma słusność Dürrenmatt, kiedy z opisem tamtej epoki wiąże moral o totalnej dewaluacji ideałów, o nieuchronnym zwyrodnieniu myśli. W tamtej epoce powszechnym bohaterem może być tylko błazen — taki jak Johann Bockelson, rozszalały król zbuntowanego Münster, a potem grzeczny aktor księdza kardynała. Bo tylko błazen może jednako zadowolić skłóconych wszystkich.

Czy wolno przecież zgodzić się z Dürrenmattem, kiedy wmawia nam grzechy epoki Münster? Porównujemy rejestr czynów herety-

ków, kardynałów, cesarzy z rejestrem wydarzeń, jakie odnotowują nagłówki dzisiejszych gazet: wiele spraw brzmi bliźniaczo, wiele błazeństw znalazło twórczych spadkobierców. Istnieje przecież kres analogii, którego Dürrenmatt nie dostrzegł. Nie chciał? Nie umiał? Nie wierzył? Finalna wątpliwość „Anabaptystów”: „*Ten nieludzki świat musi stać się bardziej ludzki. Ale jak?*” jest pytaniem, na które znalaziono odpowiedź. Może jeszcze nie pełną, może nie wszechzalatwiająca, ale już wymierna. Po ostatnich 50 latach wymierna już nawet w płaszczyźnie historii.

Spektakl „Anabaptystów” w Teatrze Dramatycznym jest rzadkim przykładem teatru myślącego. Prowokuje wielością swych znaczeń iskrzy się zmiennością nastrojów, które — wyciszane w pół słowa — przekreślają w umyśle widza jego zbyt prędkie i zbyt łatwe wnioski. Reżyser, Ludwik René, zachował autorską dwuczasowość spraw. Jeszcze ją podkreślił: dürerowski kostium i przerysowana ze starych płócien architektura zderza się z muzyką, w której podzwiewają motywy współczesnych szlagierów. Postaci tła, które autor napisał tylko

w planie historii, grane są z groteskową przesadą, protagoniści mają współczesny ton, gest, ironię. W planie historii miota się zadyszany własnym zaciętrzewieniem prorok Matthison (Janusz Paluszkiwicz), w planie historii błaznują dwaj raubritterzy (Józef Nowak i Mieczysław Stoor), których gra ociera się wręcz o styl kabaretowego skeczu; ale Cesarz Karol V (Andrzej Szczepkowski), ale Bockelson (Ryszard Pietruski), ale ufny w potęgę nauki Mnich (Zbigniew Zapasiewicz) wychodzą co chwila z szesnastowiecznego pejzażu ku widzowi, by zarazić go własną goryczą, własnym szaleństwem, własnym humanizmem. Właśnie ta wierność teatru wobec zamysłu autora osiąga swój — nieoczekiwany pozor — cel: każe widzowi podjąć z autorem dyskurs. Nie da się przy tym ów dyskurs zamknąć w ścianach teatru, dotyczy przecież kształtu i oceny współczesnego świata. A może zresztą o inicjacji takiego dyskursu chodziło nie tylko teatrowi, lecz i samemu Dürrenmattowi?

PS. Imponuje w przedstawieniu Teatru Dramatycznego techniczna sprawność w zmianach zabudowy sceny: twórczy wysiłek ludzi, których nazwiska nie widnieją na afiszu, a którzy przecież współbudują ten spektakl. Należy się im osobne podziękowanie.

Teatr Dramatyczny m. st. Warszawy. Friedrich Dürrenmatt — „Anabaptyści”. Przekład: Zbigniew Krawczykowski, reżyseria: Ludwik René, dekoracje: Jan Kosiński, kostiumy: Ali Bunsch.



„Anabaptyści” w Teatrze Dramatycznym — rzadki przykład teatru myślącego”.

Fot. Fr. MYSZKOWSKI

Ludwik 51 17/24, XII '67